Ner 37. Kraków, 16go Września. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 złr. —	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ —	
Kwartalnie .	1 „ 50	„ „ „
Miesięcznie	— „ 50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 złr. 20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 55	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 złr. 20	c. . a.
Półrocznie .	3 „ 60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „ 80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 złr. 40	c. w. a
Półrocznie .	5 „ 70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 85	„ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., następnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY.

Z dniem 1wszego Października b. r. rozpocznie się drugoroczny bieg naszego *Pisma*, **Płci Pięknej** wyłącznie poświęconego.

Zdania, które nam się i czytać i słyszeć o **Niewieście** dały, niepowodują nas do zmiany planu, któryśmy ułożyli przed rozpoczęciem pisma, i którego trzymaliśmy się dotychczas.

Uznając, że Niewiasty są połową naszego rodu, wywierającą przeważny wpływ nie tylko na drugą połowę, ale i na cały rozwój historyczny ludzkości, staraliśmy się prowadzić do jasności umysły Niewiast, do poświęceń Ich serca, do szlachetności całe Ich jestestwo.

Umieszczaliśmy i nadal umieszczać będziemy w naszem Piśmie artykuły o wychowaniu, poezye, obrazy i opowiadania historyczne, biografie sławnych niewiast z naszej i powszechnej historyi, tradycye obyczajów i zwyczajów przodków naszych, powieści obyczajowe i humorystyczne, rozprawy estetyczne, rozbiory dzieł znakomitych, wiadomości z literatury i jej dziejów z uwzględnieniem szczególnem zasług autorek — sprawozdania z dziedziny sztuk pięknych, wiadomości z działu nauk przyrodzonych i rzeczy odnoszące się do gospodarstwa domowego, ogrodowego itd.

Nie niepodobna nam twierdzić, żeśmy wszystkie tutaj poszczególnione działy zarówno rozwinęli, wszakże możem upewnić, że nam nie braknie usiłowania, aby w przyszłości uczynić, czegośmy dotąd nie zdołali.

Staraniem naszem będzie nietylko pozyskać współpracowników dzielnych dla przedmiotów specyalnych, ale i zastęp współpracowników dla przedmiotów filozoficzno-historycznych i belletrystycznych pomnożyć, chociaż go już dzisiaj dosyć poważnym nazwać możemy, skoro nam wolno wymienić jako do niego należących: Anczyca Władysława, Autora rozprawy o językach wschodniej Galicyi, Balińskiego Karola, Bałuckiego Michała, Goszczyńskiego Seweryna, Ilnickę Maryą, Jaroszewskiego Zygmunta, Kłobukowskiego Antoniego, dra Kremera Józefa, hr. Koziebrodzkiego Władysława, dra Libelta Karola, Lenartowicza Teofila, Lubowskiego Edwarda, L. R., ks. Michnę Wojciecha, dra Pola Wincentego, Szajnochę Karola, ks. Serwatowskiego Walerego, Szujskiego Józefa, Sygmę, Siemieńskiego Lucyana, Syrokomlę Władysława, Turskiego Jana Kantego, Wilkońską Paulinę, hr. Wiesiołowskiego Franciszka, Ziemięcką Eleonorę i t. d.

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6 Złr.	—	cent. w. a.
Półrocznie	3 „	—	„ „
Kwartalnie	1 „	50	„ „
Miesięcznie	— „	50	

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7 Złr.	20	cent. w. a.
Półrocznie	3 „	60	„ „
Kwartalnie	1 „	80	„ „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą), w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się.

Jeżeli ogół Prenumerujących życzyć sobie będzie a liczną prenumeratą nas poprze, natenczas bez podwyższenia ceny Pisma naszego, będziemy do niego dołączać wzory robótek niewieścich, także mody polskie żeńskie i mezkie.

Prenumerować można rocznie, także na pięć kwartałów t. j. do ostatniego grudnia 1862 r. półrocznie, ćwierć-rocznie, a w miejscu i miesięcznie.

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe tak w Cesarstwie Austryackiem jak i w Królestwie Polskiem, także wszystkie dobrze znane Księgarnie w kraju i zagranicą, którym się ustępuje 10 % od ceny miejscowej w Krakowie.

Chcąc uczynić pismo pożyteczniejszém w kierunku praktycznem, zniżamy cenę od inseratów na 4 centy od wiersza petytowego za pierwsze umieszczenie, a na 2 centy od każdego następnego umieszczenia. Za stempel rządowy dokłada się za każdą razą 30 centów.

Pieniądze prenumeracyjne i za inseraty adresują się do *Redakcyi Niewiasty w Krakowie*; wszelkie posyłki i listy należy *frankować*. Listy reklamacyjne (nieopieczętowane) są wolne od opłaty.

Panowie Pocztmistrze i Ekspedytorowie poczt, którzy wykażą, iż uzbierali 10 prenumerat, otrzymają egzemplarz *gratis*.

O spieszne zamówienia tem bardziej upraszamy, że z powodu *debitu*, który otrzymaliśmy do Królestwa Polskiego, łatwo mogłoby braknąć numerów dla spóźniających się.

Listy Zwrotne dołączają się do tego numeru.

W Krakowie dnia 12go Września 1861 r. REDAKTOR.

JESZCZE SŁÓW KILKA

O JĘZYKU OJCZYSTYM.

(Obacz Nr. 31 i 34).

III.

To nie sztuka, nie ułuda,
To kultury tylko cuda.

Antoni Sowa.

Właśnie kiedy spisujemy uwagi tyczące się języka ojczystego, wpada nam do rąk broszura pod tytułem: „Zamiar dziennika Wiary“ (skreślił Edward Pomian Łubieński, Lipsk F. A. Brockhaus 1861).

Nie tutaj miejsce po temu, aby wchodzić w rozbiór rzeczonego pisma w tak wysoką, bo świętą sferę sięgającego. Nie tutaj miejsce do zastanawiania się nad pytaniami: czy dziennik jest właściwym środkiem do szerzenia świętych prawd wiary? — czy nie najlepiej podołają temu ci, których sam Zbawiciel mieć chciał opowiadaczami i krzewicielami prawd rzeczonych, t. j. pobożni, słowem bożem natchnieni i przejęci a łaską poświęceni kapłani? — czy nie byłoby to rodzajem profanacyi, gdyby dziennik wiary wraz z innemi sprawy ziemskie traktującemi pismami miał się walać po kafehausach, piwiarniach, garkuchniach i t. d.? — czy tak wzniosłe, ba najszczytniejsze, ale zarazem i najtrudniejsze sprawy poddane prawie pod sąd każdego pierwszego lepszego, który tylko czytać umie, czy więc w ogóle to, co święte na widownią codziennych rozumowań ludzkich sięgając, nienaraża się zarazem na niebezpieczeństwo uronienia choćby cząstki szczytnego i świętego charakteru? Również nie naszą rzeczą wykazywać, które z pomysłów w onym „Zamiarze dziennika wiary“ zawartych obok myśli trafnych, pięknych i wzniosłych, obok zdań i sądów z zaparciem się nawet serca polskiego bezwzględnie wypowiedzianych, są tylko fantazyami, samemi marzeniami na jawie, bo nie opierającemi się wcale o naszą polską rzeczywistość minioną i dzisiejszą, lub złudzeniami poczciwego ale często jednostronnie patrzącego serca, lub wreszcie potrzebami tylko gwałtem w nas wmawianemi.

Powiemy tylko, że wspomniane pisemko nie bez zajęciaśmy czytali; raz że ma za przedmiot sprawę tak wielkiej wagi jaką jest wiara — a wielkich dzieł dokonywa obok rycerskiego ducha tylko wielka wiara i wzniosła pobożność! One tylko dają siłę do czynów bohaterskich, nie rodzi ich duma ludzka, ani krew, ani żądza sławy, ani polityka i dyplomacya. Powtóre, doznaliśmy rodzaju zadowolenia i ztąd, że chory zaczyna powoli przychodzić do zdrowia i nabierać apetytu; czyli: że warstwa, która niegdyś najbardziej grzeszyła niedowiarstwem i bezbożnością, którą się na zachodzie była zaraziła, ocknęła się od jakiegoś czasu i stara się o naprawienie tego, co jej ojcowie niegdyś źle byli porobili. Rzecz prosta, że kto się ocknie ze snu głębokiego, zanim oczy dobrze przetrze, inaczej przed sobą świat boży widzi, aniżeli ci, którzy już dawno wstawszy otwartemi oczyma przypatrują się dziełu bożemu; a kto po długiej albo ciężkiej chorobie się podniesie, także jakiś czas pojąć nie może że ci, co Bogu dzięki wcale nie chorowali, innego potrzebują pokarmu, innego trybu życia; i dziwi się niepomału, a czasem nawet się niecierpliwi, jeśli zdrowi nie chcą zażywać pigułek i proszków, a w ogóle konfortatyw potrzebnych rekonwalescentom. Tak się niemal rzecz ma z pismem w mowie będącem, o którem głównie dla tego na tem miejscu wspominamy, bo dotknęło także sprawy, o której w *Niewieście* piszemy; albowiem *Zamiar dziennika Wiary stanął w obronie mówienia po francusku*, a to mówienia w tym sensie, który paplaniem po prostuśmy nazwali. I dla tego to szanowne Czytelniczki i Czytelnicy nasi nieco dłużej przy samym „Zamiarze“ musieliśmy się zatrzymać.

„Zamiar dziennika Wiary“ w ustępie XVII tak pisze, tłómaczy i dowodzi: „*Ci sami*, co myślą że Żydów przerobią na Polaków, skoro im dadzą czamarki, a drukować będą książki dla Polek wyznania Mojżeszowego, *na zewnętrznych oznakach narodowość polską zakładając, chcą też rodaków przymuszać do języka i stroju polskiego; zakazują pod groźbą mówić po francusku.* W czasach, kiedy Polska kwitnęła, mówiliśmy po łacinie, bo to był wtedy język oświaty, *a polski język zaczął na tem cierpieć wtenczas, kiedy zapominaliśmy już mówić po łacinie*, gdyż pierwej na nim się kształcił, nie każąc bynajmniej przez to swej piękności. Być może, iż łacina będzie znów językiem powszechnym oświaty, skoro pozostała mową wiary i kościoła; lecz teraz język francuski jest językiem *nauki*, dyplomacyi i stosunków międzynarodowych w całej Europie; więc nie ma grzechu

znać tę mowę, *a trudno ją znać, nie mówiąc nic pomiędzy sobą choćby dla wprawy, gdyż nie zawsze zdarzy się z cudzoziemcami obcować.* Gdyby język rosyjski albo niemiecki stał się u nas powszechnym, to byłoby niebezpieczne dla narodowości; ale że się mówi po francusku, a przez to łatwiej i czyta i pisze, to sprawia tylko, że nie jesteśmy obcymi ruchowi oświaty zagranicznej i *możemy sprawy polskiej bronić w obec opinii całego świata.* To nie przeszkadza nam mówić po polsku, owszem dozwala nam obcym plonem wzbogacać myśli nasze, *a z większą nauką powiększa się i piękność kształtu naszej mowy ojczystej.* Pierwszą pieśń naszą: „Bogarodzico, dziewico“ ułożył Czech jadący z Rzymu. Przekład: „Kto się w opiekę podda panu swemu“ zostawił nam Jan Kochanowski na *włoskiej* poezyi zaprawiony. *Kto wraca z Kalifornii ze złotem, łatwo na niem wybije piętno narodowe.* Czy w kraju, czy za granicą *natchniony* pisarz powiększyć może skarby naszej literatury, przelewając myśli swoje *w mowę polską najlogiczniejszą, najbogatszą, najpiękniejszą ze znanych nam na ziemi. Nie brakuje też piszących, co mogą język polski utrzymać, owszem wsławić i rozszerzyć za granicą. Ale mniej (?) stósunkowo czytelników, mało kupujących książki i przedpłat na dobre dzienniki.* To środki silniejsze do szerzenia polszczyzny, *niżeli przymus i obelgi ulicznych swawolników.*“

Tyle „Zamiar dziennika Wiary“. Podaliśmy ustęp cały, bo tylko w całości poznać można błahość dowodzenia i kruchy stosunek myśli jednej do drugiej, a jeszcze kruchszy wielu z nich do prawdy.

Spróbujemy rozwinąć po krótce pomysły przytoczonego ustępu według właściwego ich znaczenia sprawdzając je na dziejach i loice. Ale nasamprzód zastrzedz sobie musimy z góry, że *nie należymy do tych, co zakazują pod groźbą mówić po francusku;* a to z tej prostej przyczyny, że nie mając siły na poparcie zakazu, nie chcemy się narażać na śmieszność kiwania palcem w bucie. A nawet gdyby nam na sile nie zbywało, pewniebyśmy nikomu nie zakazywali mówić choćby i po cygańsku, ani chodzić jak mu się podoba, ani śpiewać byle uszu nie raził, albo w nocy ze snu nas nie budził, ani modlić się i t. p.; bo szanując wolność osobistą, a mianowicie dziś jako obywatele konstytucyjnego państwa całą jej ważność jeszcze bardziej pojmując, w niczyje osobiste nie wdzieralibyśmy się prawa. Nie należymy do tych, powtóre dla tego, że to są ci sami, co Żydom czamarki dają: a nas wcale nie stać na taką wspaniałomyślność; a w końcu za poważni jesteśmy by należyć do *ulicznych swawolników;* a to wszystko są według „Zamiaru“ *ci sami.*

Należymy tylko do tych, co pilnie i z biciem serca śledzą ruchu życia narodowego, co czuli na każde jego drgnienie cieszą się z cnót a smucą z przywar, narowów a najbardziej z chorób życiu narodowemu zagrażających. Należymy do tych, co nawet z ostatnim tchem życia nie tracą nadziei, wierząc w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże; do tych, co spostrzegłszy złe zagrażające przyszłości naszej, przestrzegają, grzecznie proszą, po bratersku w imieniu drogiej matki naszej! A jeśli to nie pomaga, to wołamy nieco głośniej czasem z politowaniem, a czasem gdy w sercu zakipi, wyrwie się i kropla żółci; szczególniej jeśli ten, kogo prosimy, nie zważa nawet na głosy bratnie wyrywające się z głębi ściśnionego od bólu serca, na głosy od tak dawna już wołające. A nakoniec, kiedy się przebierze miara złego, a ściśnie się bardziej serce, i zamąci się w głowie, kiedy ogarnie nas na chwilę rozpacz, a duszę zmrozić chce zwątpienie na widok tylu synów i córek polskich nie pamiętających na matkę, synów i córek, co jak bociany na ziemię polską na żer tylko zlatują, serce i myśl gdzieindziej zostawiwszy: wtenczas wyrywa się i nam pomimowoli, a nawet pomimo *dobrego wychowania* krzyk przeraźliwy, bo krzyk boleści, krzyk rozpaczy; jako krzyk tego, co widzi braci lecących w przepaść, a zarazem czuje, że i jego wraz z sobą w przepaść zagrzebać mogą krótkowidze albo zaślepieni, co zgubą własną gubią i całość! Wtenczas stajemy się może nieco niegrzeczni, nie *„comme il faut“*, ale nigdy nie zapominamy się do tego stopnia aby grozić na ulicy lub ulicą! Wtenczas nie nasza wina; ale na uniewinnienie się wołamy z poetą:

Trochę w tem wina jest naszej młodości,
Trochę — tych grobów co się w Polsce mnożą,
Trochę — tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę — tych duchów ognistych co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą,
I będą chodzić skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą — dręcząc.

Ale wróćmy do treści przytoczonego przez nas ustępu. Oto na samym wstępie dowiaduje się czytelnik, że w Polsce tak daleko rzeczy zaszły, że są tacy, *którzy chcą rodaków przymuszać do języka polskiego!* To jeszcze półbiedy, może to jacyś gorliwi zapaleńcy z gorącem sercem, co się tej niegrzeczności dopuszczają; ale mają przynajmniej dobre chęci, a jeśli grzeszą, to grzeszą *miłością!* Ale co gorsza, dowiadujesz się poczciwy czytelniku, że są i tacy *Polacy, słuchajcie! proszę! słuchajcie! słuchajcie! których do języka polskiego przymuszać potrzeba!* Jacyżto ci są? i czy nie grzeszą? A jeśli grzeszą, to czemże?... Nie odpowiadam, bo stałbym się niegrzecznym!

Niestety! są tacy Polacy i Polki! Ktoś z boku na rzeczy patrząc a stosunków naszych nie świadom, pomyśli, że to ironia! A najmniej uwierzą temu potomkowie nasi, którzy kiedyś oczyszczeni z grzechów co nas przygniatają, rozpromienieni czystością i świeżością odrodzenia, oświeceni blaskiem nowej chwały, a zaczerpując całą nieścieśnioną, nieprzygniecioną piersią z atmosfery ożywczej życia narodowego, zaglądnąwszy w przeszłość, nie zrozumieją, jeśli przeczytają owe jeremiady Zamiaru dziennika Wiary — bo z naszego szpargału pono ani strzępu do onych czasów nie pozostanie — nie zrozumieją mówię, o co to właśnie „Zamiarowi“ chodziło; i niezawodnie dopiero jakiś przyszły uczony filolog, historyk albo narodowy archeolog, co to umie odczytywać runy całego świata, zna kontyny czy gontyny skandynawskie i słowiańskie, a porozkopywał mogiły, kurhany, kopce a nawet cmentarze całego świata, rozwiąże tę zagadkę, ucząc, że ponieważ „Lechicki początek Polski“ jest normandzkim, szlachta więc zapewne w poczuciu tego swego normandzko-germańskiego pochodzenia często nachylała się do germanizmu i mawiała po niemiecku, więc przymuszano ją do języka polskiego. A jeśli Lechickiemu początkowi Polski i tej jenialnej konjekturze przyszłego narodowego archeologa wierzyć nie zechcą, tem bardziej w głowę będą zachodzić, pomnąc, że na owo przymuszanie rodaków do języka polskiego, nie skarży się cudzoziemiec w Polsce osiadły, ale Polak czystej krwi, szlachcic o pięknym klejnocie i zasłużonych antenatach! Nie mały to klin wbije naszym szczęśliwym potomkom ta sprawa; a wreszcie dobroduszny i jowialny szlachcic onych przyszłych wieków — dobroduszny i jowialny, bo taki zawsze będzie szlachcic, polski — szlachcic, bo w owej szczęśliwej przyszłości każdy będzie szlachcicem, gdyż nieszlachet-

nych nie będzie — więc jowialny jakiś nasz namiastek pomyśli sobie: „To jakaś mistyfikacya Mości Dobrodzieju! figiel jakiegoś naszego krotochwilnego protoplasty i basta!“

Niech się tam kiedyś cieszą weseli i swobodni nasi potomkowie! a my im w grobach przyklaskiwać będziem! Ale dziś przy krótkim naszym przerywanym oddechu, dziś kiedy zmora pierś nam przytłacza, dziś gdzie tyle „jest kolców, bolów, westchnień, nie mało w tem życiu, i więcej niż na jawie płynie łez w ukryciu;“ dziś śmiać się nam jeszcze nie godzi; a ów stary Jan Czarnoleski woła groźnie:

A kto się w nieszczęściu śmieje,
Jabych tak rzekł, że szaleje!

Dziś zapisawszy tylko głoskami wielkiemi, *że to istotnie Polak a nie cudzoziemiec skarżył się na przymuszanie rodaków do języka narodowego;* zapisujemy tylko fakt; a ty potomności, co zwykle bezstronnie sądzisz, rozsądź tam kiedyś, *przy kim była słuszność!*

Na tem skończę tym razem; późno już w nocy, myśl moja raz wpadłszy na przyszłość szczęśliwą wciąż się do niej wyrywa, puszczam więc ją tam, niech sobie przynajmniej pobuja!...

Zostawiam zatem rozprawę z „Zamiarem dziennika Wiary“ o rzeczony ustęp do innego numeru *Niewiasty.* Tymczasem do widzenia poważne i piękne czytelniczki!

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

X.

Napomknęliśmy pokrótce, jakie nowe żywioły przygotowywały nową epokę we Francyi. Kłótnie religijne, rozprawy ludzi duchowego stanu wątpiących o kardynalnych dogmatach z katedry; szkoła tak zwanych encyklopedystów i ekonomistów burząca wiarę w najświętsze rzeczy, burząca porządek socyalny i byt materyalny klas mianowicie niższych, a zaprowadzająca natomiast materyalizm w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu w tychże klasach, chciwość zaś posiadania w klasach biednych, rujnowały zwolna cały organizm monarchiczny, zdzierając z niego ową odziedziczoną majestatyczność zbyt szybkim i szorstkim sposobem. Kraj przeto minowany z tej strony, jeszcze i z góry odbierał wstrząśnienia. Nowa albowiem faworyta markiza de Pompadour, owładnąwszy zupełnie osobę króla, owładnęła zarazem całą politykę państwa, finanse, protekcyę sztuk pięknych, a więc i los całej sfery towarzystwa, któraby moralnością przewodniczyć była powinna.

Tłum dworzan był na jej usługi i skinienie, tłum nieznający cnoty już nawet z nazwiska—Marya Leszczyńska przeto z Delfinem stanęła po drugiej stronie, wielka, uroczo-poważna, garnąca znów do swego boku cały świat stary, to jest religijny i moralny. Syn dzielnie jej pomagał, bo był z natury i z wychowania cnotliwym, stanął więc mimowoli w opozycyi przeciw królowi, a raczej przeciw jego postępowaniu. Delfin ubolewając nad dolą matki, muszącą znosić obok siebie, jako damę dworską, nową faworytę, cierpiał w dwójnasób. Wtedy też stracił pierwszą żonę infantkę, a chociaż w smutku nieutulonym, musiał jednak wejść w powtórne śluby z księżniczką saską, córką Augusta III (1752). Na szczęście była to osoba pełna łagodności, poświęcenia i delikatności, umiejąca oddać hołd i zjednać sobie miłość Maryi, córki króla, mającego większe prawo do korony polskiej aniżeli elektorowie sascy, z których sama pochodziła. Delfin widząc jej ciągłe usiłowania, aby sobie miłość jego zjednać, widząc jej dziecięce przywiązanie i cześć dla Maryi, przywiązał się do niej ową miłością spokojną, chłodniejszą na pozór, ale głębokie mającą posady. Rósł zaś Delfin w znaczenie, z wiekiem, z zasadami surowemi które w życiu wykonywał, a które dziwnie odbijały od postępowania ojca, — życie bowiem to godne, posiadaczowi przyszłemu tronu przystojne, wydawało się panującemu królowi ostrą krytyką i łapaniem popularności kosztem jego królewskiej powagi. Dla tego odsuwał Delfina, prawie od wszelkiego współudziału w rządzie — chętnie słuchając podszeptów złych ludzi przeciw własnej krwi.

Czas i jego objawy szybko obracały kołem fortuny Ludwika i Francyi. Wojny, które Francya prowadziła, pociągnęły za sobą wyniszczenie zupełne skarbów państwa, i nędzę ludu, nędzę dobywającą tem śmielszego głosu, że głos ten przygotowali właśnie najwięcej ci, którzy tego wcale nie przypuszczali. Voltaire głoszący wolne rządy republikańskie — a płaszczący się podle koronowanym nieprzyjaciołom ojczyzny, — Rousseau wymagający kommunizmu potrzebującego koniecznie powrotu do stanu natury, janseniści niosący w wyniku anarchią, arystokracya czyli dworzanie otaczający króla tracący majątki, a pogardzający mieszczaństwem, wszyscy ci, każdy w swoim rodzaju przyczynili się, do wyrobienia samoistności warstwie dotychczas uważanej za kanalią, a która jednak w kilka dziesiątek lat potem jako lud, stała się wyobrazicielką nowych idei, i nowego zupełnie przetworzenia społeczeństwa. Władza królewska coraz więcej słabła, król Ludwik XV długi czas przez naród kochany i uwielbiany, poczyna być nienawidzony tak, iż nie lęka się go ręka królobójcza dotknąć. Zamach Damiensa, który wówczas uważano za groźbę wygnanego parlamentu, — zastanowił massy — jego śmierć w najsroższych męczarniach poniesiona dzielnie i z jakimś niezwykłym stoicyzmem, wzruszyła umysły; — te massy patrzące się na śmierć królobójcy, żądającego reform w państwie, przeczuciem odgadywały w nim dalekiego apostoła wolności.

Król Ludwik starzejąc się — życia jednak swego nie odmienił. Pani de Pompadour, jedna z najbystrzejszych kobiet swego czasu, umiejąca występek ubrać w szkarłatną purpurę blasku i pozornej pomyślności, wyczerpywała wszelkie sposoby, aby króla zabawiać i przy sobie zatrzymać. Lecz przesycenie owładnęło już zupełnie zużytego króla; już nawet Parc-aux-Cerfs, ten wymysł szatański wyrafinowanego bezwstydu, nie ciągnął go do siebie, sprawy państwa tem mniej, gdy nie mając nigdy do nich ochoty, teraz jeszcze do tego szły jak najgorzej.

Zręczna markiza trzymała go jednak ciągle na sznurku przyzwyczajenia — zostawszy księżną, odbierała honory księżniczki krwi, służbę dworską nawet pełniąc około Maryi, tej kobiety czystej jak łza, miłującej swego męża nadewszystko, a widzącej zamiast wzajemności jego miłość tak nikczemnie rozszafowaną. Wkrótce też poczęły się nieszczęścia w łonie familii — biedna Marya lubo z cierpieniem w duszy, toć przecie czuła się szczęśliwą, widząc się na czele licznej generacyj. Teraz zaś nielitościwa śmierć i to szczęście przerwała. Najstarsza cór-

ka, żona księcia Parmy, która przyjechała odwiedzić rodziców, nagle na ospę umarła, a wkrótce potem wnuczek jej, syn najstarszy Delfina, książę de Bourgogne.

(C. d. n.).

Do córki mego przyjaciela.

O dziewcze moje i cóż ja tobie
Z dalekich krain napiszę — mój Boże!
Każ tam koniowi nasypać we żłobie, —
Bo pójdzie w drogę niezadługo może!
Weź kawał płótna, które noszą chłopi,
I cicho, żeby nikt nie wiedział o tem,
Wyhaftuj .... nie srebrem, ni złotem —
Lecz białą nicią z ojczystych konopi —
.... niechaj się jeździec zamierza
Na dziarskim koniu ....
Może niedługo zobaczysz rycerza,
Któremu znak ten przyszyjesz na drzewce!
Oszczędzaj płótna — bo to płótno lniane
Przyda się rychło, jeśli Bóg dozwoli
Za was kochane dostać w piersi ranę,
Lecz rana taka — Bóg widzi — nie boli!
Nie noś brylantów na piersi, na czole,
A za to pieniądz schowaj do szkatułki —
. . . .
. . . .

Wioska ojczysta niech ci będzie światem,
Gdzie więcej nieba — tam więcej i Boga,
Na wsi kto bratem, to najszczerszym bratem,
Unikaj balów i unikaj wroga.
Wierz mi dziewico, tobie nie wesele,
Lecz bardziej smutek do twarzy przypada.
Hańbą jest tańczyć po braci popiele —
Ty bądź jak gwiazda nad cmentarzem blada.
Swobodna w duszy, jako powiew polny,
W rozkoszny uśmiech nie strój swego lica,
I wciąż miej postać jako pokutnica,
Pokąd . . . .
Niechaj ci wstrętną będzie młodzież płocha,
Ty szukaj ręki zdolnej do oręża,
Nie kocha żony, kto Polski nie kocha,
Polaka tylko możesz mieć za męża!
Pracuj od wrogów jak możesz z daleka,
Przechowaj w duszy: czystość, wiarę, ciszę,
I módl się czasem za tego człowieka,
Który to tobie aż z za morza pisze.

Teofil Lenartowicz.

CIOCIA TEKLA.

Szkic współczesny

przez

W. B. K.

(Dalszy ciąg).

— Ty Józefie patrzysz w twoją okolicę tylko, i dla tego pełen jesteś nadziei.... o gdyby tak jak tu, lud był wszędzie usposobiony, poszłoby wszystko dobrze. Lecz tutaj wyjątkowe położenie, tu jest anioł, który pracował wytrwale w jednej myśli lat tyle, który poświęcił się.... lecz nie wszyscy myśl tę pojęli, nie wszyscy pracowali usilnie.... a czy prąd ogólny nie porwie wyjątków? — Zamyślił się Zygmunt długo, trąc zachmurzone czoło, i rzekł w końcu zmieniając rozmowę. — Lecz dość tych bolesnych uwag... co słychać nowego?...

— Poszukiwania rządowe trwają ciągle, rozesłano cyrkularz, aby pojedynczych przechodniów bezzwłocznie odsyłać do urzędu, dla tego radziłbym ci, abyś choć dni kilka u mnie pozostał.

— Nie, mój drogi, spoczywać nie mogę, czas nagli, a jeszcze tyle jest do zrobienia. Wyjeżdżając do kraju wiedziałem co mnie czeka...

— Ależ dni kilka sprawie nieprzyniosą uszczerbku, a tyś chory, strudzony...

— Na wstępie samym, kiedym był po raz pierwszy u ciebie, wyjawiłem ci mój Józefie drogi, zamysł postępowania mojego, powiedziałem wtedy, że tylko by wręczyć ważne papiery wstąpiłem do Łozin... aby porozumieć się z tobą w sprawie ogólnej, przestąpiłem próg twego domu, dla innych powodów niebyłbym nigdy korzystał z twej gościnności... — Życie moje postawiłem na kartę, lecz niechcę nikogo wciągać w przepaść z sobą. Dobrze mi u ciebie jak w raju... i wdzięcznym ci będę do śmierci za twą opiekę, za twe poczciwe serce, lecz dla tego samego z gościnności twej korzystać nie mogę... Tyś już źle widziany u rządu... a gdyby mnie pochwycono w Łozinach, naraziłbym cię na wielkie nieszczęście, a niezapominaj jak na tobie wiele spoczywa... niezapominaj że masz ojca ciemnego, który potrzebuje...

— Zygmuncie! — przerwał mu z wzruszeniem Józef— ty nieznasz mego ojca... ty mnie nieznasz widać...

— Nie, niezmienię postanowienia mojego — odparł Zygmunt biorąc rękę Józefa, aby ją serdecznie uścisnąć — jam już większej odmówił sobie pociechy, aby iść drogą, którą mi dytkuje uczciwość i sumienie. — Byłem w Podgórny i nie widziałem jej... oparłem się wszelkiej pokusie, odmówiłem sobie jednej z najświętszych chwil dla mnie na ziemi... więc nie nalegaj .. jestem uparty w tym względzie...

Józef przechylił głowę na piersiach, i rzekł po chwili.

— Przyznam się, że cię nierozumiem zupełnie...

— Nie — ty mnie rozumiesz... bo masz szlachetne, poczciwe serce...

— Lecz dla czego ta surowość... czemu odmawiasz sobie chwil drogich i wzniosłych, które by cię wzmocniły tylko w tej trudnej i bolesnej drodze?

— Dla czego? bom przyjechał dla pracy... dla pracy, która wymaga hartu, wymaga oddania się zupełnego... A czuję, żeby mi może zabrakło i jednego i drugiego... Miałem tego dowód gdym raz pierwszy był w Podgórny, gdym zobaczył ten pałac, ten ogród, który mi tyle chwil błogich przypominał... to zdawało

mi się że od nacisku uczuć pierś pęknie... i zapłakałem jak dziecko... i całą siłę woli musiałem użyć nad sobą aby nieprzestąpić progu tego domu... A jednakże moc jakaś niewidzialna ciągnęła mię po kilkakroć w tę okolice... i raz spotkałem ją...

— I Tekla cię wtedy poznała — żywo przydał Józef — musiałem jej długo tłumaczyć niemożność pobytu twego w tej okolicy zanim uwierzyła...

— Ależ mój drogi, nie mogłem powstrzymać w sobie oburzenia na widok Ernesta... szlachcic wziął górę nad chłopem...

— Ernest w dniu tym był pod feralną gwiazdą; i moje zjawienie się w Podgórny nie było mu miłe...

— I cóż?...

— Pojmiesz, że zajście jakie było między nim a nami niepowtarza się nigdy... dosyć miałem zadowolenia gdym go widział pokornym i zmieszanym, jego, który nie ma szacunku dla nikogo... i niezważałbym na niego, gdyby...

— Gdyby co? — spytał Zygmunt.

— Gdyby nie myśl jakaś, która mnie od tego czasu nasuwa się ciągle... myśl prawdopodobna... bardzo możebna... a która mnie gniewa i oburza...

— Domyślam się o czem chcesz mówić... ależ to nie podobne... Tekla niezezwoli nigdy na to...

— Tak mój drogi, ale Tekla ciotką tylko; a ja znając hrabinę, wiem, że projekt podobny dogadzałby zupełnie jej próżności... I do rozpaczy myśl mnie ta doprowadza, mając skrępowane ręce...

— Nie Józefie, nawet nieprzypuszczaj nic podobnego, tem bardziej, że ile wiem, Tekla jest ci przychylną... a niewątpię że i Jadwisia... więc nie trać nadziei...

— O ja nadziei nietracę... lecz zbyt tu wiele prawdziwego uczucia w sercu... żebym obojętnie i chłodno na to patrzył... — I chcąc uśmierzyć bijącą krew silnie w żyłach, przeszedł się szybkim krokiem kilka kroć po pokoju.

Zygmunt tymczasem posiliwszy się, wdział górnicę i rzekł:

— Czas już na mnie, noc — ciemno, nikt mnie wychodzącego ztąd widzieć nie będzie... za trzy dni u Jana... tymczasem ułóż u którego kolwiek z sąsiadów zjazd większy, abyśmy się mogli porozumieć.

— W razie potrzeby, gdzieżbym cię mógł znaleść — spytał Józef.

— Nie wiem... idę kędy mnie oczy niosą... a wszędzie mnie czeka wielka praca... bądź zdrów... kiedyś może niezadługo, kiedy nadzieje się nasze wypełnią... inaczej rozstawać się będziemy... lecz dziś jak żołnierze na straconej wedecie... żegnając się nie wiemy czy się nie żegnamy na wieki — bądź zdrów...

I uścisnęli się dwaj przyjaciele serdecznie — a Zygmunt mimo lat i cierpienia wyskoczył przez okno i znikł w cieniach nocy... Józef stał długo w oknie, goniąc słuchem kroków Zygmunta... w końcu łza mu się czysta zakręciła w oku i rzekł cicho...

— Boże!... Boże!... kiedyż się skończą dnie naszej niedoli.

VIII.

Hrabia niezmiernie lubił urzeczywistniać projekta swoje, tem bardziej, jeżeli projekta te łączyły się z wrodzonem zamiłowaniem jego ku wszelkiemu artyzmowi, lub przypominały jakąś chwilę z południowej strefy, do której zawsze marzeniem zwracał się jak Mahometanie przy modlitwie do Mekki. Projekt więc wieczoru i kolacyi w altance chińskiej przy oświetleniu stawu i gondoli musiał przyjść do skutku. Objechał więc kilka domów sąsiedzkich, kilku z młodych zaprosił listownie, między którymi Ernest figurował na czele, i sam zajął się urządzeniem tego festynu, na który cieszył się niezmiernie. Hrabina pomagała mu również, bo projekt nasunięty przez księżnę Zenobię, coraz ją więcej zajmował, coraz silniej przywiązywała się do niego. Ernest zachwycił ją niezmiernie, tak swoim *savoir vivre*, tak konwersacyą jako też i swem świetnem stanowiskiem majątkowem, i tak dalece ją zachwycił, iż zapomniała prawa etykiety i widocznie robiła mu *awanse*. Jedna Jadwisia tylko nudziła się tego wieczoru z całą naiwnością młodej dziewczyny.

Nadszedł w końcu dzień oczekiwany, lampy już były porobione, bengalskie ognie sprowadzone z Tarnowa, muzyka regimentowa przyjechała, i pod wieczór goście zaczęli się zjeżdżać.

Aleź na widoczne utrapienie hrabiego, dzień był od rana parny i cichy, duszno było jak w trejbhausie, a z zachodem słońca czarne groźne chmury ściągały się powoli, i od czasu do czasu głuchy odgłos grzmotu przebiegał po nad ziemią. W salonie zebrało się dość liczne towarzystwo. Nie będziem go opisywać, zbyt by to rozwlekło ramy naszego szkicu, dość wspomnieć iż zebrała się tam cała okoliczna krema.

Hrabia niespokojny biegał od okna do okna, przypatrywał się chmurom, to śledził zkąd wiatr powiewa, to wysyłał kamerdynera by się przekonał czy burza Podgórnę nie ominie. Ale burza była nielitościwa dla planów hrabiego; w godzinę po zachodzie słońca wicher zerwał się straszny, chwiał drzewami jak by trzciną, okna trzęsły się w ramach, i za chwilę lunął deszcz jak z cebra, a błyskawice bez przerwy oświetlały ziemię pogrążoną w nocy... straszna była burza, tak że w chwilach nawet całe towarzystwo chociaż do wesołości usposobione jakaś przejmowała trwoga... a muzyka pomieszana myliła takty tańców — z czasem w całym salonie powstał rozstrój widoczny, kilka kobiet zemdlało, i wieczór, na który tak cieszył się hrabia smutnie się skończył.

Tekla chwilkę tylko była w salonie, bo jakimś niepokojem trawiona wewnętrznym, nie mogła znieść gwaru muzyki i tańców — odeszła więc do mieszkania swego. Jej niepokój wewnętrzny niebył bez przyczyny, od chwili, którąśmy opisali, a w której zdawało się jej w przebranym wieśniaku widzieć Zygmunta, — oddała się bolesnym myślom. Próżno Józef usiłował jej wytłómaczyć, że to przywidzenie tylko, bo wewnętrzny głos jakiś, i to wyższe niewieście przeczucie, co chwila domysły rozbudzało. I domysły jej prawie w pewność się zmieniały, bo wieści o emisaryuszach dochodziły coraz częściej, mówiono głośno o jakichś zaburzeniach, zresztą sama świadoma wielu nadziei, którą oddychali gorętsi — śmiało mogła przypuszczać pobyt Zygmunta w kraju. Tem większa więc boleść szarpała jej duszą, nie było w jej uczuciach egoizmu pewnie, bo w jej sercu spokój anielski był już dawno, i nie znała już żadnych nadziei pełnych marzeń, ona przyjęła życie jakie Bóg jej przeznaczył, pełniąc obowiązki czuła się szczęśliwą. Lecz wiedziała jakie groźne niebezpieczeństwo ciążyło nad Zygmunta głową, wiedziała jak ciężkie i mozolne było jego życie... jaka niewdzięczna i trudna czekała go praca, i przed tem wzdrygała się z boleścią.

Tem więcej więc kołysana trwogą i niepewnością pragnęła ulgi, pragnęła pociechy, lecz pociechy tej nie widziała nigdzie. Józef widocznie unikał dłuższej z nią rozmowy... a do koła siebie niewidziała nikogo, coby ją był w stanie pojąć. Została jej jedyna pociecha tylko, ostatnia ucieczka dusz zbolałych i sierót na ziemi.... uklękła przed krzyżem i modliła się gorąco...

A burza nieustawała... i z odległych pokojów dolatywał gwar muzyki...

Minęła godzina...

Do pokoju Tekli nieśmiało, blada, zmieniona weszła Marta. Zjawienie się jej o tak późnej godzinie i w tak straszną burzę przeraziło Teklę; jak by grom w nią uderzył, strętwiała cała i zaledwie przez usta wybiegły słowa:

— Na Boga! co się stało?...

Marta zmęczona drogą i pomieszana, słów naprędce zebrać nie mogła.

Tekla przyszła do siebie.

— Czy ojciec wasz chory? — spytała.

— Nie JPani — odrzekła Marta — dzięki Bogu już ojciec zdrów, ale... sama niewiem jak powiedzieć.

— Mów!... mów, co takiego?! — nagląc powtórnie spytała Tekla.

— JPani pamięta, com mówiła o tym chłopie wtedy...

— Pamiętam! więc cóż?

— Otóż przed dwoma dniami, szłam tak jak zwykle po wodę wieczorem, i zastałam go jak leżał przy źródle, a blady był jak śnieg, i ledwie mógł mówić, dałam mu się wody napić... a kiej przyszedł trochę do siebie, to prosił żeby go przyjąć do chaty, bo już tam zajść niemógł, kędy mu iść wypadło. A miły Boże, ani przez myśl mi przyszło odmówić... bo kiej mówił to tak jakoś za serce chwytał, że człek byłby wszystko dla niego zrobił. Ale u nas chata mała, ino jedna izba, więc nie było go kaj umieścić. Tatuś chcieli mu z komory ustąpić, ale nieprzystał i w stodole był na słomie. Tatuś mówili mu zaraz, że we dworze jest miłościwa pani, co dla chorych ma leki różne, ale chłop prosił go, żeby nikomu o nim niemówił, i dał mu nawet pieniędzy byle ino do dwora znać niedawał. Chciał ten chłop dziś odejść, ale rano to już i podźwignąć się niemógł, i ledwie mówił tak go gorączka rozebrała, a przez sen to dziwne wygadywał rzeczy... Chciałam już kilka razy dać znać do dwora, bo mu coraz gorzej, ale Tatuś niepozwolili, bo chcieli przyrzeczenia dotrzymać... Ej!... Pani, mnie się zdaje że to nie musi być chłop, bo ma ręce takie białe jak u pana, a bielizna taka na nim cienka, ma ci on i złoty krzyżyk na piersiach.

Tekla, która z naprężoną ciekawością słuchała opowiadania Marty, zbladła na ostatnie słowa, i chwyciła się oburącz za serce, i stała chwilę niema, przykuta.

— Byłabym może już dziś nieprzyszła — ciągnęła dalej Marta — ale...

— Co? — cicho spytała się Tekla, trzęsąc się cała, a jakby dla kontrastu tej chwili, głośniejszy takt muzyki dobiegł do pokoju.

— Ale ten Stach urlopnik, co to jeszcze kiesik na tego chłopa odgrażał, przyszedł do nas, i zobaczył go kiedy spał, i pokiwał głową, i naśmiał się tylko kiej zobaczył krzyżyk na piersiach. A przed chwilą to przyszedł jego brat do chałupy, i powiedział, że Stach do urzędu poszedł zdać tego chłopa, i mówił żeby sam z tem poszedł do pałacu, ale nieśmie, bo przecież ten chłop nic złego nie mówił... a on wie, że w urzędzie to...

Już Tekla słów tych niesłyszała, chwyciła Martę za rękę i wybiegła z pokoju...

Burza, była w całej pełni swojej, pioruny jak jasne wstążki migały po czarnem tle nieba, wicher wstrząsał całym pałacem... Lecz co się w sercu działo Tekli..... któż opisze — niepewność i rozpacz szarpały nią jak ten wicher, co po niebiosach szarpał chmurami. Tymczasem w salonie muzyka grała wesoło, a przez szerokie ramy okien strugi lały światła.

Tekla wybiegła z pałacu, niesłysząc gromów, nie czując ni wichru, ni deszczu, który chłostał rozognione jej czoło.

Chata Marty stała na samym krańcu wioski, prędko tę odległość przebiegła Tekla, parta wewnętrznym niepokojem, i wkrótce stanęła przed niską zapadłą stodołą.

W stodole palił się mały kaganek w potłuczonej latarce, rzucając mdłe, nikłe światło na okół, i fantastyczne cienie, które zwolna przesuwały się po strzesze i zrębach stodoły... wiatr wstrząsał dachem, a przez szczeliny i szpary wył jakąś szatańską dziką muzyką.

Na boisku, na wiązce słomy leżał chłop przykryty górnicą, w największem gorączkowem rozmarzeniu, czasem oddech ciężki wyrywał się z jego piersi, czasem rzucał się niespokojnie, to znów leżał bez życia, martwy jak trup. Po nad nim czuwał stary Jędrzej, patrząc się trwożnie w śmiertelne oblicze chłopa.

Tekla, gdy weszła do stodoły, spojrzała raz tylko w twarz chłopa, jeden jęk wyrwał się tylko z jej piersi, i upadła bez przytomności u nóg chorego...

— Zygmunt!...

Na głos ten wstrząsnął się Zygmunt, podniósł ociężałe powieki, spojrzał wzrokiem pełnym dziwnego wyrazu na Teklę, i chciał się podnieść widać, lecz ręce odmówiły pomocy, i upadł bezsilny na posłanie.

— Tekla!... Boże!... — i silne uderzenie krwi do głowy odebrało mu przytomność... i chory zaczął majaczyć rzucając się niespokojnie.

Po chwili Tekla przyszła do siebie... podniosłszy głowę i załamawszy ręce, w niemej rozpaczy wpatrzyła się w zmienioną twarz Zygmunta, a łzy jak perły toczyły się zwolna po licach.

— JPani — cicho szepnęła Tekla — trzeba go wziąść ztąd bo oni przyjdą.

Lecz uwagi tej niesłyszała Tekla, zatopiona w boleści, a płacz konwulsyjny wyrywał się z jej piersi. Jędrzej wstał i zamknął wrota któremi wiatr złowrogskrzypiał.

— Oj! trzebaby go ratować JPani—szepnął Jędrzej— może po doktora posłać?... a tu mu strasznie leżeć w stodole, i wicher dmie i zimno! on tu rana niedoczeka... tak ci samo był Matys słaby i tak go gorączka rozebrała, a niewyszło trzech dni już go śmierć wzięła...

Zygmunt w przystępach maligny rzucał się na posłanie, z ust mu się wydzierały słowa bez związku, oderwane z poplątanych jakichś myśli... a słowa Polska... lud... zbawienie... przychodziły najczęściej, i tylko mocniejszą sprowadzały nieprzytomność.

Tekla u nóg jego klęczała, pogrążona w tej boleści, której nikt, nikt nie jest w stanie wysłowić. Stary Jędrzej usiadł powtórnie na wiązce słomy, nie domyślając się cierpień Tekli tylko Marta, instynktem kobiecego serca, czuła tragiczność chwili, i szeptając pacierze płakała rzewnie. A wicher trząsł dachem stodoły, a spłoszona sowa złowrogo darła się na bancie.

Minęła długa chwila... Zygmunt uspokoił się nieco, powtórnie otworzył oczy, lecz widać party jakąś gorączkowych marzeń myślą, silnie podniósł się na rękach i niepatrząc się na Teklę, żywym urywanym rzekł głosem:

— Gdzie górnica moja?!...

Zanim ją Jędrzej podał, Zygmunt poznał po raz drugi Teklę, wpatrzył się w nią długo, za rękę chwycił i do ust przycisnął, i osłabł znów... i oczy błędnie zatoczyły się do koła, i upadając na posłanie cichym, ledwie dosłyszanym wymówił głosem:

— Papiery!... ratuj!...

Pojęła Tekla myśl w tych dwóch słowach zawartą, otarła oczy — i dziwnie stała się spokojną — tylko czasem krótkie urywane, tam z pod serca dobyte westchnienie zdradzało co cierpieć musiała.

— Jędrzeju, pójdziesz po Stanisława, i przewieziesz tego... tego człowieka do oficyn, on tu leżeć nie może...

— O to będzie najlepiej JPani!

— A nie budzić po wsi nikogo... A tobie Bóg zapłać Marto za twe dobre serce, Bóg ci zapłać ześ mnie uwiadomiła... może uratujemy nieszczęśliwego — a jakby przyszli po niego ci z urzędu, to powiedzcie, że nie wiecie gdzie poszedł.

— O niebójcie się JPani... dyć człek ma ludzkie serce i nie będzie stać bliźniemu na krzywdzie...

Wyszła Tekla z stodoły, i z równą szybkością wracała do pałacu, krew jej biła do głowy, tentna skroni uderzały urywanie, gwałtownie, chaos myśli i uczuć plątały się nawzajem, i w tym chaosie próżno szukała ratunku i ocalenia dla Zygmunta... Lecz w sercu kobiety jest zamknięty niezgłębiony dar anielski, rzec można, dar instynktowy, podsuwający jej natchnienia w chwilach boleści. I Tekla dochodząc do pałacu, przypomniała Józefa, i kazała go wywołać do przybocznego salonu.

Józef na widok Tekli, zmieniał się mocno, bo Tekla do niepoznania była zmienioną, a z odzieży jeszcze ciekły strugi deszczu...

— Co pani na Boga? — spytał niespokojnie.

— Panie Józefie! on jest tu... umierający...— i zakryła twarz rękami.

— On?!... to być nie może...

— Leży u Jędrzeja. .

Józef zbladł, czoło sfałdowało się zmarszczkami, a usta zadrgały...

— Ale zkąd pani wie?

— Wracam ztamtąd... trzeba go ukryć bo zdradzony, trzeba go ratować!... Boże zmiłuj się nademną...

— On!... zdradzony?... — urywanie żywo wymówił Józef — niema chwili do stracenia, trzeba go uwieść ztąd...

— Ależ on bez przytomności, niewytrzyma drogi!... ratuj! ratuj go panie Józefie... — i z boleścią upadła na krzesło.

Józef potarł czoło...

W salonie zagrała w tej chwili muzyka, i kilku z młodych we drzwiach zawołało Józefa do tańca.

— Co pan myślisz robić?... z niepokojem spytała Tekla.

— Pani mówi że śmiertelnie słaby — więc jedna tylko pozostała droga — jadę do miasteczka po doktora. Żeby w pałacu niezastraszyć nikogo, i wstrzymam przyjazd mandataryusza... znam go, przekupić go łatwo... Tylko niech się pani uspokoi, za parę godzin będę z powrotem. .

Wyszedł Józef szybko, lecz w drzwiach zawrócił się jeszcze i dodał.

— Zygmunt ma przy sobie... ważne bardzo ważne papiery, mogące skompromitować wielu — niech je pani ukryje.

W parę chwil później, słychać było tentent galopującego konia.

Do salonu, w którym siedziala jeszcze Tekla, śliczna w balowym stroju przybiegła Jadwisia. . .

— Ciocia powróciła do nas — rzekła wesoło...

Tekla jej niesłyszała, a Jadwisia widząc jej pomieszanie i cierpienie wyryte na twarzy, uklękła przed nią i rzekła z niepokojem.

— Ciociu!... co cioci?...

— Idź Jadwisiu... idź się bawić — wstając odrzekła Tekla.

— Co się stało?... — powtórnie nalegając, spytała Jadwisia.

— Nic moje dziecko... — krótko odparła Tekla, idąc ku drzwiom.

Jadwisia chwyciła ciotkę za rękę, i drżącym od płaczu rzekła głosem.

— Ja czuję, że jakieś nieszczęście dotknęło ciocię — a ciocia mnie odpycha od siebie — i bukietem zakryła oblicze, a łza, co zabłysnęła w oku jak brylantowa rosa, spadła na kwiaty.

Strzymała się Tekla, przytuliła do piersi śliczne czoło Jadwisi i pocałowała serdecznie.

— Dobre dziecię, lecz jeżeli mnie chcesz pomódz w tej chwili, to wróć do salonu... to bądź wesołą, a gdyby cię pytano o pana Józefa... to powiedz... co chcesz... lecz nie mów że wyjechał...

I wyszła.

. . . .

(C. d. n.)

KRONIKA.

Mówiliśmy już nieraz, że największych objawów życia i ruchu naszego miasta, szukać nam tylko w zebraniach religijnych, w kościele lub przed obrazem świętym. Gdy więc z tego tygodnia zrobić nam wypada sprawozdanie, punktem naszego wyjścia będzie kościół XX. Karmelitów na Piasku, i obraz cudowny Matki Boskiej w Bramie Floryańskiej. Ożywiony wprawdzie Kraków to powracającą młodzieżą do szkół — to przejeżdżającymi z kąpiel — przedstawia jednakże w tym tygodniu prawdziwe tradycyjno-religijne miasto polskie, w którem silny duch wiary przodków niewygasł, ale owszem gorącą i serdeczną modlitwą „lepszej doli" doprasza się niebios. U XX. Karmelitów na Piasku przypada odpust całotygodniowy narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Piękny ten, wspaniały i dość obszerny kościół, do którego od niedawna parafię śgo Szczepana przeniesiono, napełniają tłumy ludzi i z dalszych spieszących okolic. Bractwo Szkaplerza śgo w tym kościele mające swą kaplicę przyjmuje do swego grona zazwyczaj podczas takich odpustów, wierne i pobożne dusze, garnące się pod płaszcz opieki Matki Boskiej szkaplerznej. Gorliwsi kaznodzieje nauczają wymownem słowem wiernych chrześcian wytrwania.

W Bramie zaś Floryańskiej, w której obraz Matki Boskiej tak sobie upodobał, iż wedle legendy, gdzie indziej raz przeniesiony *sam* do niej powrócił — odbywają się od 8go b. m. co wieczór śpiewy narodowo-pobożne, po skończeniu których tłumy Krakowian w największym spokoju rozchodzą się do domu.

W sobotę 14go b. m. zaczyna się znowu odpust w Mogile, wsi o milę od Krakowa położonej, który to odpust połączony jest z obrządkiem narodowym na cześć Wandy obchodzonym. W mogile jest jej grób, na którym wznosi się *kopiec*, rękami rodaków *wzorowej Polce* usypany. Do tego kopca wszyscy znajdujący się na odpuście, odbywają pielgrzymkę, przy której daje się słyszeć często owa starodawna piosenka, na cześć Wandy przez lud ułożona:

Wanda leży w naszej ziemi...

Wiadomość literacka.

Ks. Jan Szmurło wydał swoim nakładem: Bajki, legendy, satyry i poezye ulotne. O tej książce więcej powiedzieć nie możemy nic, prócz tego, że w bajkach nie ma żadnego sensu .... moralnego — w legiendach żadnego uroku, w satyrach ani kostyczności nawet, a w poezyach ani najulotniejszej poezyi. Szkoda pięknego druku i papieru.

Do tego numeru dołączamy mody za miesiąc wrzesień — a opis ich umieścimy w przyszłym numerze.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**